

## Pojedynek europejskich argumentów [FELIETON]

W ciągu najbliższego ćwierćwiecza będziemy chyba musieli żyć w warunkach realnego niedostatku polskiej politycznej siły w stosunku do niemieckich (a może i francuskich) aliantów – pisze Jan Rokita w nowym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Dwa bijące się ze sobą na śmierć i życie argumenty, przywołane w ostatnim czasie przez dwóch polskich polityków, trafiają w samo sedno dylematów polskiej polityki europejskiej. Podczas gdańskiej debaty w Centrum Solidarności były premier Donald Tusk mówił o „*uzasadnionych obawach*”, iż po Brexicie „*Niemcy są trochę za duże jak na Unię*”, więc jako remedium na taki stan rzeczy zalecał ściślejszą integrację oraz prymat metody wspólnotowej w stosunkach wewnątrzunijnych. „*Gdybym ja miał takiego hopla antyniemieckiego jak Kaczyński czy Ziobro – mówił – to ja na ich miejscu robiłbym wszystko, żeby Unia była jak najmocniej zjednoczona, bo to jest jedyna metoda na pokojowe i przyjazne ograniczanie roli takich państw, jak Niemcy*”. Intencją byłego premiera jest oczywiście dezawuowanie europejskiej polityki obecnego rządu. Ale nas interesuje tutaj nie ów aspekt polemiczno-propagandowy słów Tuska, tylko pewna doktryna, jasno wyrażona i dobrze osadzona w tradycji polskiej polityki europejskiej, definiująca ten rodzaj podejścia do ustroju Unii, który miałby najlepiej odpowiadać długofalowym polskim interesom. Doktrynę tę można by sformułować tak oto: jesteśmy politycznie za słabi, aby wygrywać w bezpośrednich konfliktach interesów z Berlinem

czy Paryżem; zatem jeśli w takich konfliktach nasze interesy mogą być w Unii górami, to tylko dzięki sile instytucji wspólnotowych, z unijną Komisją i Parlamentem na czele. Brukselska technokracja, jakby kiepsko nie wyglądała i ile by nie miała najprawdziwszych wad, to jednak ze strategicznej perspektywy jest dla państwa polskiego obiektywnym sojusznikiem.

Argument symetrycznie przeciwstawny podniósł ostatnio w jednym z wywiadów Ryszard Legutko – lider polskiej frakcji prorządowej w Parlamencie Europejskim. Co ważne, Legutko przywoływał ów argument z nieskrywanym zniecierpliwieniem, zaznaczając, iż mało kto całą rzecz poprawnie rozumie, choć on sam *„powtarza to nieustannie, bo jest to prawda elementarna”*. Jakaż to prawda jest owym politycznym elementarzem, bez którego nikt nie da rady pojąć sensu ustroju Unii? *„Jeśli zwiększa się rolę instytucji europejskich, to tak naprawdę zwiększa się rolę najsilniejszych państw, czyli Niemiec”* – twierdzi europoseł. I wyjaśnia: *„Instytucje europejskie mają tylko tyle władzy, ile dostaną od największych graczy, przede wszystkim od Niemiec i częściowo od Francji”*. W rozumieniu Legutki integracja europejska jest więc w jakimś sensie zabiegiem pozornym, albowiem by uchwycić jej istotną polityczną treść, trzeba dostrzec kryjącą się za nią i narastającą wprost proporcjonalnie do trendów integracyjnych niemiecką hegemonię (Legutko dodałby tu jeszcze lekceważąco: i częściowo francuską). W tak sformułowanej doktrynie zanika w gruncie rzeczy myślowe rozróżnienie pomiędzy Europą wspólnotową i Europą narodów. O ile ta ostatnia jest bowiem z natury rzeczy „koncertem mocarstw”, wobec którego słabsi są skazani albo na uległość, albo na straceńczy opór, o tyle ta pierwsza jest również „koncertem mocarstw”, tyle że zamaskowanym pozorami idei wspólnotowej. Dla słabszych to jeszcze gorzej, bo interesy mocarstw można wtedy wciskać już nie w postaci nagiej i czystej, co zawsze daje jakieś szanse na opór i obronę,

ale jako bezalternatywną i służącą całej wspólnotie „*volonté générale*”, wobec której opór jest niczym innym jak awanturnictwem bądź populizmem, domagającym się moralnego napiętnowania i stłamszenia siłą. Nietrudno dostrzec, iż obecny faktyczny przywódca polskiego państwa – Jarosław Kaczyński, ze swoimi powtarzanymi ostatnio filipikami przeciw IV Rzeszy, jest wyraźnie pod wpływem tego rodzaju doktryny.

*Ta bitwa argumentów w jakimś stopniu odpowiada za stan strukturalnej niemożności ustanowienia polskiej doktryny państwowej co do polityki europejskiej, która już dawno utraciła u nas swój myślowy twardy grunt*

Ta bitwa argumentów w jakimś przynajmniej stopniu odpowiada za stan strukturalnej niemożności ustanowienia polskiej doktryny państwowej co do polityki europejskiej, która już dawno utraciła u nas swój

myślowy twardy grunt. A rzecz dodatkowo zaciemnia i komplikuje jeszcze czynnik trzeci, czyli fakt, iż instytucje europejskie znalazły się w ciągu kilku ostatnich lat pod przemożnym wpływem swoistej „postępowej” ideologii, która *par force* rości sobie prawo do powszechnego zapanowania na całym terytorium naszego kontynentu. To sprawia, że nawet umiarkowani konserwatyści stają się nagle politycznymi wrogami głębszej integracji, niekoniecznie dlatego, by byli jej wrogami *per se*, ale z tej racji, iż nie mogą przyjąć do wiadomości „postępowego” przewrotu ideologicznego, forsowanego przez Komisję i Parlament Europejski. W dzisiejszej realnej polskiej polityce tej okoliczności żadną miarą nie można pominąć, tak kluczową

rolę odgrywa ona w kształtowaniu postaw myślowych wobec faktycznych dążeń integracyjnych i antyintegracyjnych, jakich jesteśmy świadkami. W końcu przecież nawet co niektórzy szczerzy federaliści stają się dziś eurosceptykami z przymusu, nie chcąc brać na swe sumienie odpowiedzialności za jakąś wymyśloną przez fanatyków, a rozpropagowaną przez kulturę masową nową „rewolucję kulturalną”.

Jeśli jednak chce się zachować jasność myśli, to koniecznie trzeba pamiętać, iż ów ideologiczny „czynnik trzeci” zaburza dzisiaj klarowność obrazu bitwy idei *stricte* politycznych, mającej rozstrzygnąć problemat potencjalnie najlepszego dla Polski ustroju Europy. Analizując przebieg tej bitwy musimy zatem dokonywać skomplikowanej operacji myślowej redukcji owego „zaburzenia”, tak by móc ujrzeć ów problemat ustroju Europy w jego postaci czystej. I wtedy dopiero widać jasno, że skoro w ciągu najbliższego ćwierćwiecza (czyli gdzieś do połowy XXI wieku) będziemy chyba musieli żyć w warunkach realnego niedostatku polskiej politycznej siły w stosunku do niemieckich (a może i francuskich) aliantów, to najpewniej opłaca się mieć na ten czas ów względnie silny bufor instytucji wspólnotowych, które choćby od czasu do czasu mogą się przydać dla ochrony polskich interesów. Choćby w takich kluczowych dla nas materiałach, w których przydawały się już w przeszłości – jak geopolityczne bezpieczeństwo, polityka wschodnia, czy unijny jednolity rynek, gdzie Bruksela z racji swych zasad zawsze stoi znacznie bliżej naszych racji, aniżeli racji naszych silniejszych aliantów. To w końcu klasyka dobrej taktyki politycznej, zalecanej choćby przez Makiawela: bronić się rękami i nogami przed tym, aby z nawet najbardziej przyjaznym, ale silniejszym aliantem, nie musieć zostawać kompletnie sam na sam.

*Jan Rokita*

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut  
Wolności - Centrum Rozwoju  
Społeczeństwa Obywatelskiego  
ze środków Programu Rozwoju  
Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018 – 2030

